

Maria Kraska

Studium komedii ról w twórczości Zbigniewa Uniłowskiego

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 26, 211-231

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MARIA KRASKA

STUDIUM KOMEDII RÓL
W TWÓRCZOŚCI ZBIGNIEWA UNIŁOWSKIEGO

STUDIUM KOMEDII RODZINNEJ

Kiedy Uniłowski w roku 1937 wydał pierwszy tom swojej ostatniej książki *Dwadzieścia lat życia*, w światku literackim zawrzało znowu. Piętnowano pisarza za obsesyjny paseizm, za to, że uparcie wraca do przeszłości, że z uporem maniaka sonduje swe minione życie. Zarzuty te tłumaczy fakt, że przeszłość przedstawiona w *Dwudziestu latach życia* była bardzo drażliwa w swojej wymowie. Przy tym jasne było, że jest ona nie tylko ilustracją przykrych doświadczeń jednostki, ale studium socjologicznym kompromitującym pośrednio konkretne układy społeczne. Tematem książki jest dzieciństwo pisarza, przypadające na pierwsze lata niepodległości Polski (1918—20). Krytycy nie przypuszczali, że pisarz sięgnie po temat do własnej przeszłości. Wiedzano wprawdzie o jego trudnej drodze *selfmademana*, o tym że „wskoczył on w elitę prosto z nizin proletariatu”¹, że „[...] nie tak dawno jeszcze nasz autor i podróżnik trudnił się pracą fizyczną i obcował z ludźmi nieskończenie mniej wysubtelnionymi od dzisiejszych swoich przyjaciół”² — nikt jednak nie zdawał sobie sprawy, jak wielką rolę odegrała w kształtowaniu się osobowości pisarza ta przeszłość, dzieciństwo, najwcześniejsza młodość, jak ogromny wpływ miał ten okres życia na ukształtowanie się profilu jego literatury.

Tak zwana opinia publiczna uważała, że Uniłowski, „dziecko szczęścia”, pisarz, który zrobił oszałamiającą karierę, jeden z tych nielicznych, którym udało się znaleźć miejsce na górze, powinien zerwać z ponurą przeszłością, nie wywlekać jej na jaw. Wiele osób nie mogło zrozumieć, że bogaty, sławny Uniłowski,

¹ W. Gombrowicz, *Uniłowski zaplątany w ludziach*, „Czas” 1937, nr 167.

² Tamże.

Uniłowski, o którym zawistnie mówiono, że patrzy na świat z okien eleganckiej kamienicy przy Alei Róż, pozostaje ciągle jeszcze w wiecznej z tym światem niezgodzie, że pragnie epatować i prowokować społeczeństwo. Bo powieść *Dwadzieścia lat życia* jest właśnie tego wyrazem.

Dzieciństwo jako temat miało już swój stereotyp w naszej literaturze. Było najczęściej przedstawiane na sposób „sielsko-anielski”, traktowane jako najczystszy, najpiękniejszy okres życia, jako owe, wspomniane z liryczną łezką w oku autora, „bezgrzeszne lata”. Któż nie rozczulał się nad tzw. „życotami cielecymi”, nad wspomnieniami przeróżnych niebieskich i innych mundurków, albo nad owymi żalonymi „sierocymi dolami”. Jeżeli nawet dzieciństwo było biedne i smutne, to przecież jego historię preparowano z jakąś środowiskową i rodzinną wstydlivością. Prano i prasowano nędzę, aby doprowadzić ją do ogólnego standardu, przykrywano ją starannie wzlotami dzieciennych uczuć, świeżością naiwnych spostrzeżeń.

I oto w krąg tych miłych, dobrych, ufnych i nierozumiejących, bezbronnych istotek wchodzi dziesięcioletni Kamil Kurant, hardy i cyniczny, „zaprawiony w obyczajach życia dna ludzkiego”³ oberwus z Powiśla, „obeznany z kodeksem bezlitosnych praw nędzy i twardego bytowania”⁴. Wchodzi w otoczeniu swoich współtowarzyszy — „tych zaciętych okrutników ćwiczonych głodem, piekłem rodziców i trwogą, która w odpowiednich sytuacjach przeradzała się w bezlitosne znęcanie się nad kimś, kto słabszy”⁵. Kamil Kurant, dziesięcioletni chłopiec, który „marzył lub wspominał — gorzko i ponuro”⁶, odczuwał „zgoła nie dzieciinne tęsknoty ściskające mu gardło”⁷, chłopiec, który „chwilami robi wrażenie dojrzałego, przeżytego mężczyzny”⁸. Jest dzieckiem, a przecież zna gorzki smak absolutnej samotności, jest „wylękniony, nieufny, nierzadko trapią go myśli o rzeczach nieznanach a wyczuwanych”⁹.

Dzieciństwo Kamila jest właściwie dzieciństwem tylko z nazwy. W samej rzeczy jest to bodaj najtrudniejszy, najbardziej brutalny rozdział jego życia i ma dla późniejszego, dorosłego pisarza o tyle wielkie znaczenie, że porysował mu na zawsze dużą korozją kompleksów. Jest to dzieciństwo, które odbyło się

³ Z. Uniłowski, *Dwadzieścia lat życia*, Warszawa 1955, s. 128.

⁴ Tamże, s. 125.

⁵ Tamże, s. 133.

⁶ Tamże, s. 100.

⁷ Tamże, s. 93.

⁸ Tamże, s. 27.

⁹ Tamże, s. 78.

bez takich rekwizytów jak miłość, rodzicielska opieka, pieszczoty, zabawki, kapryśnienie. Jego ponurość, nietypowość i nędza są częściowo zdeterminowane historią, częściowo ekonomią i pochodzeniem społecznym. W historycznej prezentacji tego krótkiego, niespełna dwuletniego okresu życia Kamila—Uniłowskiego na pierwszy plan bowiem wysuwają się takie zjawiska jak: nędza i głód pierwszych lat po wojnie (1918—20), dyferencjacja (przeważnie w dół) drobnomieszczanstwa — warstwy, z której pochodził Kamil, nie ustalona sytuacja polityczna kraju. Wszystkie te czynniki ekonomiczno-polityczne w skali społecznej, dotknęły rodzinę Kamila, a co za tym idzie, zaważyły na jego losach. Na domiar złego Kamil wcześniej stracił rodziców i wszystkim tym groźnym zjawiskom musiał sam stawić czoła, tak więc był ową „nieświadomą drobiną rozwijającą się wśród nawałnicy”¹⁰. Z woli autora jego sytuację tak określają słowa jednego z bohaterów książki — wuja Kazia:

Nieublagane prawo czasu, w jakim żyjemy w okresie kiedy ojczyzna, wspierając się na granicach wytyczonych kulą karabinową, osłabiona jeszcze podnosi się, aby po okresie rekonwalescencji stanąć w szaczącym szeregu państw świata, w tym okresie jak gdyby symbolicznie staje do zapasów z życiem jej młody obywatel, ten tu właśnie obecny między nami sierota, mój siostrzeniec Kamil Kurant. Będą razem iść naprzód i rozwijać się społeczeństwo i częśćka jego organizmu, którego rozwój jest miniaturowym wzorem rozwoju wszelkiej państwowości, Kamilu! Człowiek, który dał ci życie winien dla ciebie przestać istnieć! Matkę twoją najbliżsi dziś pogrzebali [...]. Otóż zostałeś sam na świecie, na którym wszystko co złe ginie, a tylko hart i ukochanie ojczyzny wyniesie cię ponad zwykłą codzienność! Kamilu, rozpocząłeś dziesiąty rok życia, a już danym ci jest samemu troszczyć się o siebie¹¹.

Egzystencja Kamila jest tak nieustalona, tak niepewna, że chłopiec bardzo często „poważnie przemyśliwa o możliwościach kontynuowania swego istnienia”¹². Aby utrzymać się na powierzchni życia, w pierwszym rzędzie stara się poznać i rozszyfrować atuty ludzi, którzy go otaczają, którzy są jego partnerami w walce o byt. Toteż, choć nie chodzi do szkoły, z namiętną pasją i systematycznie studiuje filozofię życia. Najpierw jego wnikliwe obserwacje zawiązują się do studium rodzinnego (okres wercmanowski, pobyt u babki, u ciotek), potem, kiedy zostaje rzucony przez los w życie samodzielne, kiedy po śmierci matki prowadzi „życie pełne nieograniczonej swobody, nabrzmiałe od

¹⁰ Tamże, s. 127.

¹¹ Tamże, s. 104.

¹² Tamże, s. 152.

trosk”¹³ — jego spostrzeżenia obejmują coraz szersze kręgi zjawisk, dotyczą różnych środowisk społecznych i etnicznych. Zmienia się też ich charakter. Dziecinne domysły i niejasne przypuszczenia przybierają formę stałych i nienaruszalnych prawd. Dochodzi do paradoksu: dziesięcioletni chłopiec zdobywa ponurą i prawdziwą wiedzę, niewiele różniącą się od doświadczeń ludzi starych, którzy po kilkadziesiąt lat czerpali z drzewa wiadomości dobrego i złego.

Przede wszystkim mały Kamil rozróżnia dwa odrębne, zupełnie sobie obce światy: niezrozumiały, przerażający swoją obcością świat dorosłych i świat tych, którzy są od dorosłych zależni, którzy nie mają jeszcze długiego życiowego stażu — świat dzieci. Egoizm i wrogość to dwie zasadnicze relacje, jakie między tymi światami zachodzą. Dominantą w postępowaniu dorosłych jest obłuda i aktorstwo. Fałsz jest w ich świecie strawą codzienną. Obracają się w sferze zafałszowanych uczuć, zafałszowanych idei. Na podstawie obserwacyjnej indukcji chłopiec dochodzi do kapitalnego wniosku: życie jest tylko komedią ról. Komedią albo tragikomedią. Pod grubą warstwą szminki aktorskiej ukrywają ludzie swoje prawdziwe twarze. Zresztą poczucie prawdy i uczciwości jest tak nikłe, ludzie tak się zgrywają w swych rolach, że w końcu zatracają swoją osobowość, swoją autentyczność. Permanentną troską dorosłych jest dbanie o pozory, o jak najbardziej nładniejsze pozory, którymi pokrywa się uczuciową pustkę, małostkowość, głupotę, podłość. I tak na przykład przebywając u szweców Kamil stwierdza: „wszyscy mieli miny, jakby robili coś niesłychanie ważnego, a reperowali przegniłe kurpie”¹⁴.

Te wszystkie spostrzeżenia „uczyniły Kamila myślicielem, ponurym, skrytym chłopcem, w którym wszelkie porywy dziecięce skarłowaciały i zwiędły”¹⁵. Nigdy chyba w literaturze światowej spojrzenie dziecka nie nabrało takiego znaczenia, nie było tak twórcze i tak okrutne. Obdzieranie świata i ludzi z pozorów odbywa się w sposób niemal szokujący, choć chłodny i obiektywny. Frontalną demaskację rozpoczyna Kamil od najbliższych, od rodziców, rodziny. W pierwszym rzędzie podważa prawdziwość i autentyczność uczuć tak świętych, tak czystych i tak zdawałoby się pierwotnych, jak miłość rodzinna, miłość rodziców do dzieci i *vice versa*.

Przede wszystkim deprecjacji ulegnie prestiż ojca. U podstaw ojcowskiej miłości, jak zresztą u podstaw każdej miłości,

¹³ Tamże, s. 126.

¹⁴ Tamże, s. 230.

¹⁵ Tamże, s. 46.

leży egoizm. Ojciec Kamila nie chce zrezygnować ze swego awanturniczego trybu życia, aby poświęcić się wychowaniu syna, gdy ten zostaje osierocony przez matkę. Chłopiec bardzo szybko orientuje się w matactwach swego rodziciela. Na każde jego poponięcie patrzy z chłodną nieufnością, „ciekawy, co ten żywiłowy pan wniesie do jego życia”¹⁶. Bardzo szybko „Wyimaginowana wszechmożność przeistoczyła się w szare i przytłaczające, nieznośne indywiduum. Słońce, do którego garnęły się chłopięce nadzieje, okazało się chłodną i posępną lampką”¹⁷. Przez cały czas w duszy Kamila toczy się „walka z własnym sumieniem o synowską moralność. Przytłaczał go przymus posłuchu u ojca, a jednocześnie wstydził się tego. Ostatnie miesiące nędzy wyrobiły w nim poczucie korzyści. Ten ojciec wtłoczył go nagle w krąg swego życia... i cóż dał oprócz ubranka i jazdy kolejną... Dał przymus i niepokój, wstydliwą sytuację i obojętne środowisko”¹⁸. Rani go obłuda i komedianctwo ojca: „Na ulicy Kamil zerknął na ojca pełen niechęci za to Kamila ukłonił się, za tę zmianę, jaka w nim zaszła, kiedy się znaleźli w gabinecie pana Sołtyńskiego... pokora i brak swobody... a później tuż przed wyjściem ta gadatliwość, ukłony”¹⁹. Ostatecznie postać ojca traci u syna autorytet moralny: „Słowa ojca zdawały się rozłazić po przedziale, obojętne i niepoważne... słowa już zdewaluowane”²⁰ i autorytet uczuciowy: „Trzeba go będzie całować, patrzeć mu w oczy, co jest przykre, jeśli w sercu czuje się mimo woli samą obojętność”²¹.

Nie mniej surowo sądzi Kamil matkę. Z przeraźliwą, aż bolesną szczerością stwierdza: „O, matkę często wspominam. Właściwie nigdy jej nie kochałem. Rodziców się nie kocha, jak się nie kocha własnej ręki, rodzice to absolutna własność dziecka i odwrotnie”²². Na obawy macierzyńskiej miłości patrzy sceptycznie: „Ludzie, z którymi mieszkał [matka i Wercman — przyp. M. K.] byli jeszcze młodzi, zainteresowani sobą. Często zdawał sobie sprawę, że jest tu piątym kołem w wozu”²³. „Ostatnio matka poświęcała mu więcej uwagi. Wercman ochłodził, zaczęła się bieda, trzeba było więc swój sentyment gdzieś ulokować. Kamil wyczuwał sztuczność, był więc zgorzkniały i zamknięty

¹⁶ Tamże, s. 252.

¹⁷ Tamże, s. 271.

¹⁸ Tamże, s. 249.

¹⁹ Tamże, s. 230.

²⁰ Tamże, s. 291.

²¹ Tamże, s. 245.

²² Z. Uniłowski, *Wspólny pokój*, Warszawa 1932, s. 33.

²³ *Dwadzieścia lat życia*, s. 24.

w sobie”²⁴. Za „naciągane” uczucia płacił również fałszywą monetą: „Wziął ściereczkę i począł wycierać mokre talerze — Mój kochany synu — powiedziała matka i pocałowała go [...] Nie pragnął jej czułości, chodziło mu tylko o przyspieszenie obiadu, bo był głodny”²⁵. Po śmierci matki „[...] nie mógł się zdecydować: martwić się czy nie? Matka rzeczywiście umarła i wypadałoby pożałować trochę. Ale Kamil nic nie odczuwał, pustka, może trochę zdziwienia. Tak, jest bez serca, ale czy powiedział mu kto, co to jest serce, czułość. Na wiele rzeczy Kamil był wrażliwy, na śmierć matki akurat nie”²⁶. W dalszej relacji z pogrzebu stwierdza: „rozkoszowałem się swą tragedią: oto tam leży trup matki, zgasły przed godziną, a ja — sierota”²⁷. „Potem szedłem za trumną matki i duma rozpieła mi pierś, że wszyscy patrzą na mnie ze współczuciem — jedyny syn”²⁸.

Autentyczności i szczerości doznań Kamila przeciwstawia Uniłowski obłudę i zakłamanie dorosłych. Na pogrzebie rodzinna komedia ról osiąga punkt kulminacyjny, daje pole do opisu wszystkim: „Kamila rozśmieszyły te rodzinne postacie śpieszące w pozornej żałobie na dobry obiad, przy którym będą mogli omówić stare i nudne plotki”²⁹. „Kiedy rodzina obsiadła stół [...] doznał wrażenia, że wiele osób nosi maski na twarzach. Tylko ciocia Lucyna i niepozorny urzędniczyna mieli szczerze, wzruszone i rozżalone miny”³⁰. „Kamil czuł, że wujowi Kaziowi chciało się bardzo śmiać i dowcipkować, ale udawał powagę chwili”³¹. Zastanawia się więc: „Dlaczego dorośli tak udają i okłamują się wzajemnie? Przecież dla całej rodziny pogrzeb był przyjemną wycieczką na wieś”³².

Primadonną widowiska jest babka Weronika. To ona po mi-strzowsku odgrywa „komedię z gromnicami”. Kamil—Uniłowski wspomina: „Wzbierał we mnie dziecięcy gniew na udawanie babki, wiedziałem, że dawno pragnęła śmierci matki (ciągle tylko skakać koło niej)”. Obserwuje babkę Weronikę i zauważa, że starszka jest tym wszystkim podniecona, jakby uradowana. W pewnej chwili „[...] rozkrzyżowała ręce, padła plackiem przed trumną i zapłakała głośno [...] Co ta babka wyprawia? Przez tyle

²⁴ Tamże, s. 24.

²⁵ Tamże, s. 27.

²⁶ Tamże, s. 81.

²⁷ *Wspólny pokój*, s. 36.

²⁸ Tamże, s. 37.

²⁹ *Dwadzieścia lat życia*, s. 98.

³⁰ Tamże, s. 99.

³¹ *L. c.*

³² Tamże, s. 95.

dni namodliła się chyba dość, a za życia matki oczekiwała jej śmierci z dnia na dzień. Jak można tak na zawołanie płakać, przecież najwyraźniej udaje rozpacz, raduje ją cały ten obrządek”³³.

Babka Weronika to wytrwały i ambitny aktor. Żąda aplauzu, opuszcza scenę na końcu, wtedy, kiedy w żaden sposób nie może już oddziaływać na widzów. „W tej chwili babka Weronika odłożyła książkę i bezradnie opuściła ręce, jakby nagle odczuła, że się już nie uda wycisnąć żadnego efektu z tego smutnego dnia, stała chwilę w niezdecydowaniu i wreszcie, nie mogąc nic lepszego wymyśleć, rozplakała się głośno i poszła sobie nie wiadomo dokąd, rozszlochana z twarzą w dłoniach”³⁴.

Zupełnie zresztą podobnie reaguje na śmierć bliskiej osoby były mąż zmarłej — ojciec Kamila. „Andrzej oparł się o drzewa i stał tak z przechyloną głową [...] rozmyślający, że oto spełnia swój małżeński obowiązek, rozkoszujący się swym bólem i bliską możliwością zalania go trunkiem [...] z ochotą myślał, że już wkrótce opuści tę obskurną miejscowość. Na razie oddawał się boleści i tak pochylony, z melonikiem na brzuchu, w czerni wyglądał bardzo efektownie”³⁵.

Charakterystyczne, że przytoczone wyżej cytaty dotyczące opisu pogrzebu cechuje bardzo wyraźna, wprost rzucająca się w oczy językowa teatralizacja. Dla podkreślenia komedianctwa bohaterów Uniłowski używa specyficznej dla sceny terminologii, np.: „Wuj Kazio włożył marynarkę upozował się w ramach otwartego okna i począł mówić”³⁶. „Kamil podał wujkowi mdłą rękę i przyjął ten aktorski uścisk”³⁷. „Począł płakać ostrożnie i ze smakiem w rękaw”³⁸.

Przejrzawszy na wyłot zasady gry obowiązujące w komedii rodzinnej Kamil okiem wytrawnego znawcy patrzy na świat dorosłych. Oburza go zakłamanie tych ostatnich w stosunku do dzieci:

Pogardę wytwarzał zdawkowy stosunek ciotek do niego. Traktowały go z pobłażliwą wyższością, często nie odpowiadały na pytania, tak jakby nie widziały ich duchowego ubóstwa, tanich kłótni, bzdurnych zacietrzewień, pretensjonalnych skłonności do pudrów, karminu i kiecek, niechlujstwa na codzień i powierzchownego mycia się tylko na wyjście [...]. Kamil chciałby, aby traktowały go jeśli nie na rów-

³³ *L. c.*

³⁴ Tamże, s. 103.

³⁵ Tamże, s. 204.

³⁶ Tamże, s. 103.

³⁷ Tamże, s. 104.

³⁸ Tamże, s. 223.

ni, to przynajmniej z powagą, żeby go przestały wreszcie ścisnąć jak pieska pokojowego, i aby nie patrzyły na siebie porozumiewawczo, kiedy zadawał jakieś istotne pytanie. Wiedział przecież, że nie są znów tak mądre, były tylko starsze, ale to nie stanowi przecież o wyższości [...]. Zresztą Kamil już dawno zauważył, że wszyscy prawie dorośli ustosunkowują się do dzieci z pobłażliwą wyższością, i ten łagodny, pełen politowania ton doprowadził go do pasji³⁹.

[...] życie robiło się okrutne i niezrozumiałe, ludzie podli i wroźdy, a jak się nim już trochę zainteresują, to zawsze na smutno, rozpytują się jak się ma i co myśli, zdawkowi i niepoważni, pogrążeni w swoich niezrozumiałych pragnieniach [...] a nade wszystko, że te dni całe tak się wlokły, jak w mrokach jakich, wszystko było takie obce i niedostępne, wszędzie czaiła się tajemnica, bezlitosna skrytość dorosłych, którzy tak strzegli swego doświadczenia, że aż w głowie czasem szumiało od wysiłku, aby pojąć ich uczynki. [...] I tylko po nocach oddzielał się od tego oceanu tajemnej obłudy⁴⁰.

To wszystko sprawia, że Kamil staje się nieufny, wiecznie przyczajony do skoku, na pozór oschły, ukrywający swe uczucia. Żyje przecież w świecie, „gdzie dobroć jest czymś niepojętym, zakrawa na głupotę”⁴¹. Ostatecznie swoje gorzkie doświadczenia podsumuje wnioskiem: „Dorośli tak mnie okłamywali, że już w nic nie wierzyłem”⁴².

Jedynym faktem, który respektować nakazuje mu empirycznie zdobyta wiedza jest potęga pieniądza. Przecież „To nędza sprawiła, że ludzie nikkzemnieli”⁴³. A nędza to brak pieniędzy. Świat tak jest już urządzony, że tylko za pieniądze dostępne są obiekty namiętnych dziecięcych pragnień: kino, napoje gazowe o upajającym smaku, zeszyty z przygodami Jacka Texasa, słodycze — nie mówiąc już o zaspokojeniu tak podstawowej potrzeby jak głód. „Każdy człowiek, a co dopiero takie chłopaki jak my, lubi różne przyjemne rozrywki i smaczne rzeczy. Tylko, że my znów nigdy nie mamy pieniędzy [...] Męczymy się i tyle! [...] Bez pieniążków nic nie poradzi”⁴⁴ — przekonuje Kamil swoich kolegów. I faktycznie pieniądz jest motorem poczynań wszystkich. Wpływa nawet na temperaturę rodzinnych uczuć. Kiedy porzucona przez kochankę umierająca matka Kamila szuka ostatniego azylu u babki Weroniki — rodzina nie okazuje entuzjazmu. Dopiero pieniądze otrzymane od Anny Kurantowej sprawiają, że „zarówno humor babki jak i wuja Leona poprawił

³⁹ Tamże, s. 172.

⁴⁰ Tamże s. 141.

⁴¹ Tamże, s. 103.

⁴² *Wspólny pokój*, s. 35.

⁴³ *Dwadzieścia lat życia*, s. 104.

⁴⁴ Tamże, s. 271.

się⁴⁵. Także sam Kamil: „Póki był niezależny i przy matce, był dobrze traktowany. Teraz używano go już do posług⁴⁶. Zresztą wszechmoc mamony widać na każdym kroku: „Kamil patrząc na sklepikarza spod piątego myślał sobie, że oto wystarczy mieć troszkę pieniędzy, a cały ten elegant zacznie się poruszać, pytać i odpowiadać, piąć się nawet po schodach, do słoja lub pudełka, żeby wyjąć taniego karmelka, albo trochę liścia bobkowego⁴⁷.”

Pieniądze właśnie są czynnikiem, który powoduje, że chłopak zaczyna być obłudny: „Jeśli Kamilowi Wercman obiecał pieniądze na niedzielę, z Kamila wyłaziła kanalia już w czwartek, wstrętny, dwulicowy podlec. Łasił się, uśmiechał, usługiwał Wercmanowi. Sprzedawał mu siebie po kawałku⁴⁸. „Podświadomość mówiła mu: nie twoją rzeczą jest uchylać się od wpływów środowiska i codzienności bytowania, które cię jako dziecko wychowuje⁴⁹. Inteligentny chłopiec zrozumiał bardzo szybko, że nie warto walczyć z wiatrakami. „[...] hamulce dziecięcej, niewyrobionej woli zaczęły pękać⁵⁰. Kamil „poczuł, że otacza go coraz większe zło, że lepiej będzie podporządkowywać się jego wpływom. Świat mu się wydawał coraz podlejszy. W podświadomości postanowił myśleć tylko o sobie, nie walczyć dalej z pokusami, które mu to wrogie i smutne życie od dłuższego czasu podsuwało⁵¹. „I w tej chwili poznał, że życie jego jest tak marne i że chyba zawsze będzie musiał kłamać, wszystko się składa na to, żeby łągał podle⁵².”

Tak więc Kamil zostaje odarty z uroków wolnej woli i zgwałcony przez surową rzeczywistość. Jego moralny nihilizm zaczyna się od sprytnie, w małych dawkach kradzionych pieniędzy, za które zafundować sobie można iluzjon i uciec od rzeczywistości. Później wpływa na ustalenie się planów życiowych chłopca. Główny cel życia widzi Kamil w wydobyciu się z tej egzystencji na dnie. Postanawia: „Ja się na pewno wygramolę⁵³.”

To charakterystyczne zdanie było powodem wielu sporów krytyków. Uważano, że Kamil Kurant nie jest prawdziwym dzieckiem proletariatu, ponieważ jest bardzo świadomy swojej nędzy. „Jest pewien tragizm w tym pisarskim zabiegu, który

⁴⁵ Tamże, s. 69.

⁴⁶ Tamże, s. 78.

⁴⁷ Tamże, s. 150.

⁴⁸ Tamże, s. 40.

⁴⁹ Tamże, s. 271.

⁵⁰ Tamże, s. 271.

⁵¹ Tamże, s. 266.

⁵² Tamże, s. 61.

⁵³ Tamże, s. 175.

dziecku proletariatu narzuca sposób odczuwania drobnomieszcza-
nina”⁵⁴ — pisze Samuel Sandler, Emil Schürer zaś twierdzi
wręcz: „To odporne, ambitne zwierzątko o rogatej naturze nigdy
nie było naprawdę naiwne. W porównaniu z przeciętnym dziec-
kiem robotniczym, które ze swoim otoczeniem jest głęboko zwią-
zane [...] i ani myśli o doli innej niż proletariacka — Kamil Ku-
rant jest małym moralnym potworkiem”⁵⁵. „Oburza powszechnie
indyferentyzm moralny chłopca”⁵⁶.

Wydaje się, że przytoczeni krytycy wychodzą z błędnego za-
łożenia twierdząc, że Kamil jest przeciętnym dzieckiem robotni-
czym. Nie biorą pod uwagę następujących faktów:

Po pierwsze: Autor „Dwudziestu lat życia” zupełnie wyraź-
nie zaznacza, że Kamil pochodził z drobnomieszczaństwa, w jego
rodzinie zdarzały się kariery inteligenckie, poprzednie jego ży-
cie było w miarę dostatnie: „Ciebie kierowali na jakiego uczo-
nego, a jak tylko ci się życie odmieniło, to żeś upadł na to nasze
proletariackie dno i już się nie wygramolisz”⁵⁷ mówi do Kamila
Janek Kotowski. Owo symboliczne „gramolenie się”, jest wysił-
kiem zmierzającym do osiągnięcia dawnego poziomu życiowego.

Po drugie: Abstrahując od pochodzenia społecznego, trzeba
zgodzić się z oczywistą prawdą, że Kamil nie jest dzieckiem
przeciętnym. To dziecko utalentowane, nietuzinkowe, intuicyj-
nie czuje wewnętrzną potrzebę wyjścia na szerszy świat. Jego
pisarski talent przejawia się już wtedy w zdolnościach obserwa-
cyjnych, w owych często trapiących go, nieświadomionych tę-
sknotach i namiętnościach, których mały chłopiec nie umie jesz-
cze nazwać. Kamil musi się „wygramolić”, bo swoje powołanie
pisarskie może realizować tylko w świecie na górze.

Jasno widać więc, że klasowo-statystyczna interpretacja tego
zjawiska, jakim jest niewątpliwie Kamil Kurant — zawodzi.
Wprawdzie swoją gorzką wiedzę zdobywał on nie poprzez wy-
chowanie szkolne czy rodzinne, ale w ogniu bezpośrednich starć
życiowych, w „nieodstępnej asyście głodu”, a twarde lumpen-
proletariackie bytowanie było „tokarnią jego duszy”, jednakże
schemat takiego, a nie innego pojmowania i interpretacji otacza-
jącego go świata mieści się w ogólnych założeniach pewnej
określonej filozofii.

⁵⁴ S. Sandler, *O twórczości Zbigniewa Uniłowskiego*, „Twórczość”
1950, nr 2.

⁵⁵ E. Schürer, *Dwadzieścia lat życia*, „Nowa Kwadryga” 1937,
nr 2.

⁵⁶ Janowski, „Pion” 1937, nr 8.

⁵⁷ *Dwadzieścia lat życia*, s. 175.

Uderzająca jest analogia między *Dwudziestoma latami życia* a *Słowami* J. P. Sartre'a. Ciekawy fakt! W trzydzieści lat po Uniłowskim teoretyk francuskiego egzystencjalizmu w tych samych aspektach potraktuje swoje dzieciństwo. Pomimo tego, że mały J. P. Sartre i Kamil Kurant wychowywali się w zupełnie różnych środowiskach bytowych i kulturalnych — osąd świata i rekapitulacja wniosków jest zbliżona. Zarówno w jednej, jak i w drugiej książce nie mamy idealizacji dzieciństwa. Obydwaj autorzy powściągają sentymenty na rzecz obiektywnego studium komedii rodzinnej, w którą z bezwzględnej konieczności uwikłani młodociani bohaterowie sami w końcu stają się komediantami. Podobnie jak i Sartre może Uniłowski powiedzieć o sobie: „[...] moje badania i łowy stanowiły część komedii rodzinnej”⁵⁸. „Robak niemrawy, bez wiary, bez praw, bez rozumu i celu chronił się w komedii rodzinnej, wierząc się, biegając przeskakując od oszustwa do oszustwa”⁵⁹.

Wspólny dla atmosfery obydwu dzieciństw jest również nastroj pesymizmu, smutku, nudy — porównaj słowa Sartre'a „[...] nie opuszczała mnie nuda niekiedy dyskretna, niekiedy mdląca [...]”⁶⁰, z owymi permanentnie trwającymi cmentarnymi nastrojami Kamila. „Zniszczone, zatarte, upokorzone, zapędzone w kąć, przemilczane wszelkie cechy dziecka przetrwały u człowieka pięćdziesięcioletniego”⁶¹ — pisze Sartre. Uniłowski także sugeruje, że dzieciństwo w decydujący sposób wpływa na kształtowanie się osobowości dorosłego człowieka, na profil jego życia.

U obydwu pisarzy mit dzieciństwa mieści się w obrębie ogólnego pojmowania losu ludzkiego, które jest i pesymistyczne, i tragiczne.

STUDIUM KOMEDII LUDZKIEJ

Na przykładzie przeobrażeń psychicznych Kamila Kuranta Uniłowski pokazuje, że każdy człowiek w dzieciństwie obdarzony jest przez naturę autentycznością rozumianą jako dążenie do prawdy. Jednakże potem, w miarę życia, jego suwerenność duchowa zostaje pogwałcona przez stosunki ekonomiczne, kulturę i wszechpotęgę tego, co Gombrowicz nazwie później Formą, a co jest konsekwencją współżycia z innymi ludźmi. Żyjąc w społeczeństwie, reagując nieustannie na stereotypy zachowań innych

⁵⁸ J. P. Sartre, *Słowa*, Warszawa 1964, s. 67.

⁵⁹ Tamże, s. 74.

⁶⁰ Tamże, s. 195.

⁶¹ Tamże, s. 203.

ludzi, człowiek ulega prawu symetrii, zatracą swoją pierwotną autentyczność, pozwala na jej zinstytucjonalizowanie się. Zaczyna wtedy istnieć niesamodzielnie, uzależniając i podporządkowując całe swoje postępowanie fałszywym wyobrażeniom, jakie mają o nim inni ludzie. Osobowość jego depersonalizuje się, a nawet więcej: ulega dehumanizacji, tzn. człowiek, istota żywa, staje się w ontologicznym sensie rzeczą, popada w nieautentyczność. Zatraca swoją wewnętrzną prawdę, rezygnuje z buntu, z „wiecznej z tym światem niezgody” — daje się bezwolnie ujarzmić schematem codzienności. Ulega tzw. presji „się” — a więc żyje jak się żyje, identycznie jak żyją inni, wierzy jak się wierzy, kocha — jak się kocha, nawet rozpacza tak, jak się rozpacza, robi jak się robi — zawsze wszystkim w pewnym schemacie. Człowiek taki staje się człowiekiem „poważnym”, nie zastanawia się nad celowością i sensem swojego istnienia. Jest duchowym sybarytą, stara się nie zauważać istniejących w świecie kontrowersji, wybiera spokój wewnętrzny, godzi się na stan, jaki zastał. Sumą jego reakcji na panujące wokół stosunki jest wybór i granie roli. Roli takiej, która jest mu najwygodniejsza, której oczekują od niego inni ludzie. Człowiek „poważny” to ten, który stracił właściwą człowiekowi autentycznemu zdolność autorefleksji, na rzecz wygody zdradził własną osobowość, wyobcował się z samego siebie i cały roztopił w zewnętrzności. To osobnik, który całe swoje życie, odpowiedzialność za jego właściwy sens i kształt, scedował na świat przedmiotowy, a sam uległ automatyzmowi wykonywanych gestów i zachowań, uwierzył w determinizm, w to, że jednostka nie może się samodzielnie stawać, jest już bowiem jeszcze przed poczęciem zdeterminowana przez siły transcendentne. Bezkrytycznie zaakceptowawszy wszystko to, co zastał na tym świecie, a więc: religię, ideologię, etykę — człowiek taki pozbawił się raz na zawsze możliwości egzystencji autentycznej. A porzucenie egzystencji autentycznej — to upadek w to, co codzienne, zwykłe, ustalone. Człowiek lepi się do tego i staje się rzeczą pośród rzeczy, zanurza się w nieosobowym „się”. Owo „się” to wszystko, co społeczne, schematyczne, co w konsekwencji oddala jednostkę od istnienia prawdziwego; oferuje jej byt gotowy, wygodny, który jednakże jest jednoznaczny z jakąś ślepotą intuicyjno-intelektualną i pozbawia życie jego sensu osobowego. Człowiek taki w życiu jest tym tylko, czym trzeba aby był w funkcjach swego zawodu, swej roli społecznej. Zatracając swoje właściwe „ja” staje się bezwolną marionetką, zabawką w ręku anonimowych sił, całkowicie regulujących zasady jego poruszania się. Zanurzając się w codzien-

ności, w konformizmie — zamiast istnieć po prostu jest. Jest „rzeczą w sobie” — bytem upadłym.

Uniłowski ukazuje takich ludzi-rzeczy, ludzi „poważnych”, ludzi zdominowanych całkowicie przez życie codzienne, przez wszystko to, co społeczne, przez role, jakie pełnią, ludzi zupełnie utożsamionych z tymi rolami, pozbawionych personalnej identyczności. Przedstawia ich z odrazą, z dezaprobatą, niejednokrotnie bezlitośnie wykrzywiając ich postacie w zwierciadle karykatury.

O nieautentyczność zresztą posądza wszystkich, nie wyłączając siebie. Zaciekle tropi ludzi. Nie wierzy żadnym słowom, deklaracjom, gestom. Im są one układniejsze — tym bardziej fałszywe. Demaskuje je. Zdiera ludziom maski, ukazuje prawdziwe oblicza. Jak przy badaniu przestępców wwierca im w oczy oślepiający reflektor prawdy. Brzydzi się konstytucjonalną cechą psychiki ludzkiej — udawaniem.

Tę jego demaskatorską pasję staraliśmy się podkreślić już w pierwszej części artykułu, mówiąc o przenikliwym i okrutnym studium komedii rodzinnej dokonany przez dziesięcioletniego chłopca. Kamil, a wraz z nim Uniłowski, dochodzą do wniosku, że istotą życia ludzkiego jest komedia ról. Na tej zasadzie buduje pisarz swoją koncepcję człowieka, swoją psychologię i filozofię. Wyrzuca więc ze swego pisarstwa tzw. charakter, na ich miejsce podstawiając tylko pewne schematy psychiczne, formy myślenia i reagowania, które układają się w całe, mniej lub bardziej jednolite, role. Jednak nawet wobec tych schematów jest podejrzliwy. Także siebie traktuje na równi z innymi bohaterami, nie wierzy sobie, kontroluje się. Zresztą bohaterowie jego nie są bohaterami *sensu stricto*. Uniłowski nie kreuje ich, są to po prostu ludzie, których spotkał w swoim życiu.

Całą swoją pisarską aktywność i wyższość wynikającą z tego, że jest przeciw autorem-twórcą ogranicza do sprawnego rozszyfrowania ról i klasyfikowania ich według wartości, jaką przedstawiają. Ponieważ grają wszyscy, wszyscy są skazani na uleganie Formie i prawu symetrii. Stąd konkretny człowiek wart jest tyle, ile warta jest rola, jaką przybrał. I to jest miarą, według której ocenia Uniłowski spotykanych ludzi.

Role różnią się więc charakterystyczną dla siebie specyfiką, konwencjami, w jakich są grane. Istnieją także między nimi pewne niuanse, które zdradzają różny stopień aktorstwa, czyli upadku. Tezę tę można zilustrować przykładami. I tak, w konwencji literackiej grają swe życiowe role pan De (jeden z bo-

haterów *Pamiętnika morskiego*) i pani Lucylla Lammeni z opowiadania *Salon pani Lammeni* (tomik *Człowiek w oknie*). Obydwa ograniczone mocno indywidua — to megalomani z pretensjami literackimi. Pan De uważa się za potencjalnego twórcę dużego formatu, a pani Lammeni ustawicznie podsuwa pod nos swym gościom wydany własnym sumptem tomik poezji pt. *Pietruszki w sadzie, czyli erotyki botaniczne*. Przy pomocy literatury chcą oni załatwić brudne sprawy swojej psychiki — pan De niewyżyte ambicje, pani Lammeni niezdrowe skłonności erotyczne.

Tę samą kategorię ról egzemplifikuje również cała plejada miernych pisarzy i kibicujących im literackich snobów z kręgu Ziemiańskiej. Przez karty *Wspólnego pokoju* przechodzi ich cały szereg „[...] niedocenionych, umiarkowanie antyszambrujących lub dumnie zerkających na oglupiałe Żydóweczki — by dać miejsce jakiejś nahajce satyry, chłuszczącej w najmniej odpowiednie miejsca tępe społeczeństwo”⁶². Wszyscy oni pozują na artystyczną bohemę, szukają azylu w literaturze podczas gdy patrząc na nich „doznaje się wrażenia suchej impotencji”⁶³. Sytuacja ich polega właściwie, używając słów Gombrowicza, na jednym wielkim odpaleniu, a przecież mimo to uważają się za wielkich. Krzewi się w ich światku zazdrość i zawiść. O tym bractwie samopogardy powie Uniłowski ostro: „ohydne, megalomańskie mordy”⁶⁴. „O jacyż wy wszyscy jesteście nudni — banda matolów. Siedzicie w tym siedlisku snobów, chlejecie tę kawę, która wam na pewno nie smakuje i udajecie dojrzałych, mądrych ludzi. [...] Zachowujecie się tak, jakbyście osiągnęli już swą klasę. Stańcie się lepiej dobrymi pisarzami, niżli materiałem na geniuszów, jakim teraz być chcecie”⁶⁵.

W konwencji szlachecko-rodowej utrzymane są role, odgrywane na scenie życia przez Antoninę Gorlicką (*Dwadzieścia lat życia*) i aptekarza Suchodolskiego z Terezyny (*Zyto w dżungli*). Są to ludzie wysadzeni z siodła, dawno już spauperyzowani, a przecież w dalszym ciągu kultywujący tradycje swego stanu. W pokoju pani Gorlickiej na poczesnym miejscu wisi „starożytny” kontusz jej męża. Prócz tego jej szlacheckość przejawia się w tzw. dobrych manierach, w pieczołowitej celebracji posiłków itp. Suchodolskiemu — emigrantowi w Brazylii — też pozostały tylko wspomnienia: „[...] wionęły z ust gospodarza nazwiska tak

⁶² *Wspólny pokój*, s. 10.

⁶³ Tamże, s. 11.

⁶⁴ Tamże, s. 70.

⁶⁵ Tamże, s. 71.

szlachetne, że aż lęk brał, czy nie jest z naszej strony poufałością siedzieć i grać w karty wobec tylu świętych brzmień. W końcu padło nazwisko wymówione upojnie, poczem nastąpiła pauza i wstrząsająca informacja: — Tak, pani Walewska, to moja kuzynka [...] również generał Zajączek jest moim antenatem [...]”⁶⁶.

Obydwu tych ról autor jednak nie potępia zupełnie, owszem, zdaje się sugerować, że są to dobre role, może trochę śmieszne, ale przecież odgrywane z godnością, sentymentem. Uprawiane na marginaliach życia, na prawach hobby, są niegroźne, nie udzielają się otoczeniu.

Za to najbardziej krytycznie, wręcz z nienawiścią przedstawia Uniłowski role fałszerzy spod znaku ideologii. Reprezentują je: księża na emigracji: Kiełta i Grzywa, nauczyciele: Stachurski i Brzeziński, działacze ludowi: Janicki, Grzeszczeszyn, Gruda (*Żyto w dżungli*) oraz zwolennicy pewnych doktryn ideologicznych np. Mieciek Stukonis i medyk Edward ze *Wspólnego pokoju*.

Są to role, postawy obliczone na szersze oddziaływanie i dlatego niebezpieczne dla otoczenia. Przyporządkowanymi im mętnymi ideami można się przecież zarazić, można nimi tumanić masy i zdobywać dla głoszonej złej wiary rzesze zwolenników. Owo oddziaływanie na innych jest tym bardziej niebezpieczne, że ludzie je podejmujący są bardzo aktywni, przy tym nie przebiegają w środkach propagandy. Są przeważnie zdolnymi demagogami. Za pomocą przeróżnych obietnic i pięknych słów przemycają swoje hasła. Żerują na ludzkiej głupocie, na nędzy fizycznej, na głodzie uczuć. Wyrafinowani, przewrotni aktorzy, żądni szerokiej publiczności, hochsztaplerzy ludzkich myśli.

Pisarz nienawidzi ich i gardzi nimi: „Znałem kilku przedtem: radykali, emigranci polityczni, nie uznający systemu, niewyżyci, powydaleni z pułków byli wojskowi, klerykali, wszystko to wyrzucone przez ocean na brazylijski brzeg tałatajstwo, zmuszone stworzyć w swym nadgniłym sumieniu jakąś mętną idejkę, żeby ukryć swe żalosne wykołajenie, aby tylko żerować na pracowitym mrowisku chłopskiej emigracji”⁶⁷. Wszyscy oni są ludźmi najbardziej zakłamanymi. Pod pretekstem misji społecznych i kulturalnych, pod egidą religii nawet — walczą przebiegle o swoje jednostkowe, niskie i przewrotne cele, chcą się wyżywać, chcą przewodzić tłumowi. Uniłowski nie żałuje im dosadnych epitetów, na które zasłużyli: „Panie Brzeziński, za to, co pan tu powiedział, powinienem pana po prostu sprać na kwaśne jabłko!

⁶⁶ *Żyto w dżungli*, s. 123.

⁶⁷ Tamże, s. 232.

Jest pan bezczelnym renegatem, nędzną kreaturą [...] jest pan nędzny szmatławiec”⁶⁸.

Postacią arcywykpioną przez Uniłowskiego, wysmianą we wszystkich aspektach, wyszydzoną na wszystkich możliwych płaszczyznach jest Grzeszczeszyn — nędzna, złośliwa karykatura społecznika, postać *par excellence* groteskowa. Grzeszczeszyn skupia w sobie prawie wszystkie wady ludzkie, począwszy od niechlujstwa, brzydoty fizycznej, bezgranicznej głupoty w najbardziej potocznym i trywialnym znaczeniu, kłamliwości, obłudy, a skończywszy na sodomii. Upiorna ludzka posturka, majsterszyk ponurej groteski.

Bardziej szlachetnym doktrynerem zdaje się być na pierwszy rzut oka Mieciek Stukonis. Mieciek jest komunistą. Aktywnie uczestniczy w życiu partii, bierze udział w akcjach, zebraniach, z narażeniem osobistym przemycia nielegalną bibułę. Wszystko wskazuje na to, że jest to ideowiec z prawdziwego zdarzenia, a przecież w chwili, gdy potknęła mu się noga, gdy aresztowany musi ponieść konsekwencje swojej działalności, załamuje się, obiecuje matce poprawę, wyrzeka się swych szczytnych idei. A więc i to była maska!... Ale jak szczelnie przylegała... Wydawało się, że zaangażowanie ideowe jest integralną częścią osobowości Miećka, że idea uszlachetnia tę skądinąd rubaszną i przyziemną mentalność, winduje ją w rejony wyższych odczuć. Okazało się, że nie. W więzieniu Mieciek „[...] schudł i spokorniał. Obiecywał, że jak go tylko wypuszczą, zaraz weźmie się do nauki i już nigdy nie będzie należał do żadnych partyj. Wywietrzył mu zupełnie z głowy, ten komunizm przeklęty”⁶⁹. „To znaczy, że jest skończona kanalia”⁷⁰ — powie o nim Zygmunt. „Naturalnie, że jest kawał drania! Jak mu kilka dni paki całą ideologię w diabły przetrzebiło, to czego można się po nim spodziewać, co to za charakter! Zawsze byłem przeciw jego przekonaniom, ale szanowałem je, tymczasem okazuje się, że to wszystko nie było funta kłaków warte. Wyrośnie z niego kretyn i swołocz”⁷¹.

Uniłowski daje do zrozumienia, a nawet mówi wręcz, że aktualnie wyznawane idee nie mogą stanowić o autentyczności człowieka. Sama zaś ideologia jest niczym więcej jak stekiem „zręcznie skonstruowanych bzdur” i jako taka nie może stanowić o wewnętrznej prawdzie człowieka. Jest też tylko maską,

⁶⁸ Tamże, s. 182.

⁶⁹ *Wspólny pokój*, s. 291.

⁷⁰ Tamże, s. 291.

⁷¹ Tamże, s. 292.

kamuflażem utkanym z haseł i mądrych, dumnie brzmiących słów. Pisarz demaskuje, odbrażawia idee.

Ideologie według Uniłowskiego — to też role, z tym że są to role wysokie intelektualną rangą, role na koturnie. To tylko etykiety, które ludzie przypisują sobie, żeby móc oddziaływać na innych, wyzywać swoje kompleksy i frustracje. W obliczu groźnych żywiołów, w obliczu głodu i śmierci — idee giną, stają się nieważne. Pozostaje sam człowiek przerażony, słaby; słaby z natury swojej do tego stopnia, że nie może być wierny nikomu i niczemu, nie może być stały ani w uczuciach, ani w poglądach. Podobnie jak i Céline unważa Uniłowski, że wszelka brawura jest w gruncie rzeczy podejrzana. Człowiek nie może być dzielny. „Być dzielnym z takim ciałem? Żądajcie w takim razie i od glisty, żeby była dzielna, ona jest różowa i blada, i miękka, zupełnie jak my”⁷².

Kiedy człowiek jest głodny, nie potrafi odczuwać nawet uczucia tak zdawałoby się pierwotnego i tak szlachetnego jak patriotyzm. Sponiewierany ulicznik Kamil Kurant zastanawia się: „Co to jest Polska? Przecież mu ciągle było źle. A teraz przytłacza go to wielkie i niepojęte słowo, które wszystkich wprawia w podniecenie, a on nie może zrozumieć jego wielkości i znaczenia, przyszło tak nagle, każe się wielbić. Czuję, że jest podły, podlegszy niżby ukradł tysiące koron... Ale dlaczego! Dlaczego!”⁷³.

Jego wątpliwości rozprasza w bardzo rzeczowy i klasowy sposób starszy kolega — Janek Kotowski. „Teraz to jest niepodległość, ale biedny lud wcale tego nie czuje. Dla proletariusza zawsze jest zabór. Zawsze go będzie mortus kąsał, choćby ta ojczyzna nie wiem jak była niepodległa [...] Dla robotnika nie ma bracie, ojczyzny, bo on nie ma nawet możliwości dowiedzenia się, co to ona takiego jest”⁷⁴.

Tak więc nawet patriotyzm nie należy do uczuć w pełni autentycznych. W pewnych warunkach jest w ogóle niemożliwy, tak samo zresztą, jak niemożliwe są w pewnych warunkach równe mu rangą uczucia rodzinne (zdemaskowane w studium komedii rodzinnej). Patriotyzm jest po prostu sprzeczny z filozofią człowieka głodnego.

Wszystkim obłudnikom, którzy przy pomocy idei usprawiedliwiają, ułatwiają i uwznioślają swoje podłe czyny przeciwstawia Uniłowski rzetelną autentyczność ludzi prostych, chłopów polskich na emigracji. Między nimi „Nie było nudnych, parszy-

⁷² Céline, *Podróż do kresu nocy*, s. 62.

⁷³ *Dwadzieścia lat życia*, s. 293.

⁷⁴ Tamże, s. 175.

wych rozmów dotyczących jakichś mętnych spekulacji w imię fałszywie pojmowanej pracy społecznej; wszystkich tych załganych i wzniosłych tematów: «Macierzy»!, «Religijności»!, «Braterstwa»!, całej tej mętnej i nieudolnej propagandy⁷⁵.

Uniłowski prezentuje imponujący korowód ról. Grają wszyscy, więc nie sposób egzemplifikować poszczególne role, traktować je w sposób jednostkowy. Zaznaczyłam tylko najczęściej spotykane konwencje, w jakich są grane. Trzeba tu jednak nadmienić, że role różnią się między sobą kunsztem aktorskim ich wykonawców. Rola roli nie równa. I tak np. wysoki stopień aktorstwa i zarazem upadku przedstawia utrzymana w tradycjach rodzinno-religijnych rola babki Weroniki, jak również inteligencko-filisterska rola wuja Kazia.

Jednak najbardziej chyba skomplikowaną rolę gra w życiu Andrzej Kurant. Gra po mistrzowsku, przerzucając się z tonacji w tonację. Andrzej Kurant to gracz wysokiej klasy, gracz hazardowy. Gra z fantazją — gra o duże pieniądze i o wolność, o to, aby najłatwiejszą z dróg wyjść na górę, uplasować się w sferze ludzi bogatych. Jest cyniczny. Zdaje sobie sprawę z tego, że gra. W gruncie rzeczy pogardza swoją grą i tymi, którzy biorą ją za dobrą monetę. Gra w imię zasady, że lepiej kilka dni przeżyć życiem lwa, niż lata całe pełzać jak gadzina. Finezja i skuteczność jego gry tłumaczą się tym, że Kurant jest dobrym psychologiem. Przystudiował ludzkie słabości, co ułatwia mu przeskakiwanie z jednej kreacji w drugą, w zależności od życiowych potrzeb. Rola ojca, skruszonego grzesznika, rola równego kumpla, rola uwodziciela w różnych odmianach: kochanka romantycznego lub męczyzny brutalnego, rola nieszczęśliwego wdowca, rola bogacza i biedaka... Przerzucając się z jednej roli w drugą autentyczny jest chyba w rzadkich chwilach, kiedy dręczą go „kacenjamerowe refleksje” i kiedy zmęczony, półprzytomny łyka proszki uspokajające. Kurant to urodzony komediant, jego kunszt doszedł już do takiego stopnia wyrafinowania, że owo aktorstwo stało się jego zawodem. Tę rolę Uniłowski stawia najwyżej.

Na życiowej scenie występują również nieudolni aktorzy, można powiedzieć — aktorzy jednej roli, np. kapitan Hulka, który umiał być tylko bohaterem na wojnie, w czasie pokoju marnieje, gnuśnieje, staje się zupełnie nieważny i śmieszny — wypada z roli. Podobnie rzecz się ma ze studentem Bednarczykiem, Ten świadomie projektuje swoją rolę jako inteligenką. Kiedy oka-

⁷⁵ *Żyto w dżungli*, s. 207.

zuje się, że nie ma warunków do kontynuowania tej roli — desperacko popelnia samobójstwo. Słaby człowiek, słaba rola.

Dla jednostek ludzkich zdepersonalizowanych czymś, co umacnia ich stagnację, czymś, co leży jednocześnie u podstaw komedii ról i stanowi jej twardy szkielet — są formy zewnętrzne, czyli to, co zwykle się znać dobrym wychowaniem, *bon-tonem*, mieszczańskim, wąsko rozumianym *savoir vivre*m.

Cóż to takiego jest? Jest to cały nienaruszalny kompleks zasad, wskazówek i przykazań obowiązujących człowieka „poważnego” we wszystkich dziedzinach w życiu towarzyskim i w polityce, w życiu codziennym i w literaturze, w handlu i w miłości. Wszędzie. Wyznaczają one stereotyp wszystkich procesów, jakim ulega człowiek. Formy zewnętrzne nie pozwalają człowiekowi objawiać się spontanicznie na zewnątrz w jego rzeczywistych odczuciach i reakcjach — wprost przeciwnie za pomocą mnóstwa gestów, układnych, wypolerowanych słów i posunięć każą mu kłamać sobie, „działać w rękawiczkach”, narzucają mu specyficzny *modus vivendi*. Koronującą maksymą tzw. dobrego wychowania jest dyplomatyczna zasada — co innego myśleć, co innego robić. Dokonując projekcji swojej osobowości na otaczający ich świat „Wszyscy ludzie są przejęci tylko tym, co wolno, a co nie wolno”⁷⁶. Nie rozpatrują swoich posunięć w kategoriach etycznych, nie sprawdzają, czy są one zgodne z sumieniem, czy są lojalne w stosunku do innych. Ważna jest tylko zgodność z kodeksem form zewnętrznych. Naturalnie, te formy kulturowane są na pewnym szczeblu kultury i standardu życiowego.

Uniłowski, który jak sam zaznacza, „lubi takich ludzi, co nie zachowują form zewnętrznych”⁷⁷, z satysfakcją stwierdza np., że Kamil i Marek — dzieci proletariackie „[...] nie posiadali tak zwanego dobrego wychowania, które by im doradziło jakiś kłamliwy wybieg”⁷⁸.

Potem, kiedy pisarz prawem intelektualnego awansu przebywa w kołach inteligenccko-mieszczańskich, ma możliwość na każdym kroku obserwować te bezosobowe, wystudiowane reakcje. W tym świecie nawet w obliczu śmierci dba się o dobre manieiry. Po śmierci brata „Teodozja z tytułu swej kobiecości [...] popłakiwała”⁷⁹. Także po śmierci Bednarczyka „Teodozja siedziała spokojnie, popłakując cicho, dla formy”⁸⁰. Poeta Zygmunt żegna

⁷⁶ *Dwadzieścia lat życia*, s. 238.

⁷⁷ *Wspólny pokój*, s. 23.

⁷⁸ *Dwadzieścia lat życia*, s. 145.

⁷⁹ *Wspólny pokój*, s. 251.

⁸⁰ Tamże, s. 302.

ompatywną tyradą umierającego przyjaciela, wymusza na nim stwierdzenie, że nie było mu w jego pokoju źle, sili się na kurtuazję przed umierającym. „Kiego diabła odegrał całą komedię [...] Czort bierz całą serdeczność”⁸¹ — pomyśli o nim Lucjan Salis.

Forma zawładnęła nawet tak zdawałoby się niebanalną i nie skodyfikowaną dziedziną życia jak miłość. „Nie potrafisz nawet grać zakochanego”⁸² — powie do Lucjana panna Leopard, która będąc właściwie kobietą lekkiego prowadzenia się, „kochanką wielu uznanych matolów”, żąda od niego wymyślnych, pięknych słów, holdów opartych na reminiscencjach z literatury. Żąda tak wiele, a przecież wcale nie odwzajemnia jego szczerych uczuć. Jej przewrotnemu postępowaniu przeciwstawia Uniłowski naturalne, proste, szczerze i wielkoduszne reakcje Teodozji, która kochając Lucjana, nie usiłuje robić zamachów na jego wolność osobistą, nie wymusza żadnych obietnic, nie chce zeń robić swojego niewolnika. W postępowaniu tej dziewczyny nie ma miejsca na owo obłudne załamywanie rąk w obliczu pewnych wstydlivych faktów — patrz teatralna reakcja córeczki pani Smodrakowej, która załamuje ręce w imię fałszywie pojętej przyzwoitości.

Właśnie tzw. „dobre wychowanie” opiera się na przyzwoitości. Uniłowski w swoim burzliwym życiu poznał tak wielu „przyzwoitych” ludzi, wie, ile „szwindłów” kryje się za taką przyzwoitością, że mierzi go sam ten termin. „No sumienie tym przyzwoitym człowiekiem się zarżnęło. To dla mnie jakiś nowy termin. Przyzwoitość! Co to znaczy? Może opanowanie, takt, spokój i uczciwość”⁸³.

Zbyt dosłownie pojęta przyzwoitość, przejawiająca się w bezmyślnym akceptowaniu wszystkiego, co wypada, a co nie wypada, nakazująca na wszystko reagować maksymalną powściągliwością, przeistacza ludzi w rzeczy, dehumanizuje ich zupełnie, czyni ich życie wegetatywno-roślinnym. Ofiarami dobrego wychowania są m. in. pozostające w niewoli konwenansu trzy siostry z Asuncjón: „Zachowywały się przyzwoicie aż do nieprzyzwoitości. Żaden z moich tematów nie przyjął się, mianowicie: propozycja pójścia na spacer nad rzekę, pójścia do kawiarni, przejechania się autem, a już z bardzo stanowczą odmową spotkałem się ze strony jednej z panien, kiedy chciałem z nią wyjść trochę na balkon. Gdzież u licha ta niemoralność? Gdzie głód mężczyzn! A możemy się im nie podobali”⁸⁴. Ich hiperprzyzwoi-

⁸¹ Tamże, s. 322.

⁸² Tamże, s. 150.

⁸³ Z. Uniłowski *Pamiętnik morski*, Warszawa 1937, s. 123.

⁸⁴ Tenże, *Asuncjón*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 34, s. 1.

tość zamraza osobowość, tłumi nawet biologiczne cechy gatunkowe. Wrażliwy instynkt pisarza wyczuwa w tych trzech pa-nienkach przedmioty. Dalsza relacja z odwiedzin przebiega już w formie bezosobowej, nieżywotnej, na zasadzie: ludzie wśród rzeczy. „Wreszcie wstaliśmy, podaliśmy sobie kończyny, zaszur-galiśmy buciarami, na ulicy jeszcze żegnały nas z balkonu, prze-chylone wszystkie trzy, machając prawymi rączkami jak lilie na wietrze. Ptaki”⁸⁵.

Motyw ptaków powtarza się jeszcze parę razy w twórczości Uniłowskiego, a zawsze wtedy, kiedy chodzi o zasygnalizowanie bytów upadłych, zreifikowanych. Takie bezosobowe są siostry zakonne w Iraty: „W drzwiach witają nas dwie siostry — smut-ne ptaki w czepcach”⁸⁶, jak również czeladnicy Piszczka, który bezmyślnie pozwolili wprzęgnąć się w kołowrót pracy. Są już tylko i wyłącznie robotami. Ich życie liczy się tylko ilością zauto-matyzowanych ruchów. Pisarz wspomina o nich „dwaj szewcy skurczyli szyje, jak dwa ogłupiałe ptaki”⁸⁷.

Są to wszystko ludzie, którzy się zatracili już dawno, zdrad-zili siebie, utożsamili się dożywotnio ze schematem, pozostają tylko i wyłącznie manekinami, nie mają żadnej ludzkiej, natu-ralnej reakcji. Egzystując jako rzecz i na kształt rzeczy, są cał-kowicie określani przez zewnętrzną. Nie mają własnego „ja”. Każda forma ich nędznej egzystencji jest formą od nich nieza-leżną, narzuconą im bez odwołania.

Jak wykazałam, Uniłowski pogardza tymi ludźmi albo trak-tuje ich zupełnie obojętnie, są tak nieciekawi, że nie bierze ich serio, np. często o nich notuje: „Stłukł mi się zupełnie, jak nie-pasujący do mego oblicza monokl”⁸⁸ (pan De), albo „Po tych słowach stłukła się Kamilowi zupełnie”⁸⁹ (siostra Kaliny).

Wszystko to są ludzie, którzy się już jako ludzie nie liczą. Utonęli w codzienności. Są tacy jak powiedział Céline: „Ludzie pchają przed sobą życie i w dzień i w nocy. Ludziom życie zasłania wszystko. We własnym zgiełku nie słyszą nic. Plują na to. A im większe jest miasto, im jest wyższe, tym bardziej plują na to”⁹⁰.

⁸⁵ Tamże, s. 1.

⁸⁶ *Żyto w dżungli*, s. 32.

⁸⁷ *Dwadzieścia lat życia*, s. 233.

⁸⁸ *Pamiętnik morski*, s. 147.

⁸⁹ *Dwadzieścia lat życia*, s. 170.

⁹⁰ Céline, *Podróż do kresu nocy*, s. 278.